

o globalizacji jako o cudownym leku na całe zło, który otworzył granice i umożliwił swobodny przepływ wszystkiego i wszystkich. Chcieliśmy narysować takie mapy, które by opowiedziały inną historię – opowiada. – Zorientowaliśmy się, że w ciągu ostatnich 70 lat liczba murów, które blokują przemieszczanie się ludzi, wzrosła kilkakrotnie. W 1945 roku było ich tylko kilkanaście, a dzisiaj jest ich już prawie 60. To część historii, o której wiele się nie mówi. Dlatego postanowiliśmy stworzyć mapę poświęconą murom na świecie.

Jedną z motywacji było też pokazać, że większości murów nie zbudowano wcale dla ochrony przed terroryzmem albo przemytem. Najczęstszą przyczyną budowy była, i wciąż jest, walka z nielegalną migracją. Lambert jest przekonany, że te mury muszą runąć.

– Ich budowa oparta jest na błędnych założeniach, a do tego po prostu nie spełniają swojej funkcji. Ludzie i tak znajdują sposoby, żeby się przez nie przedostać. A wtedy politycy podejmują decyzje o ich rozbudowie albo o dobudowaniu nowych. To błędne koło – mówi Lambert.

Ale największego muru nie ma na mapie.

– To bariera Morza Śródziemnego, która jest najbardziej śmiertelnośną strefą na świecie związaną z migracjami. Właśnie pracuję nad mapą, która pokaże, ilu ludzi zginęło przez ostatnie pięć lat, próbując dostać się do Europy – opowiada.

– Wierzę, że mapy to narzędzia do zmiany świata. Za ich pomocą walczę o całkowite otwarcie granic i absolutną wolność przemieszczania się ludzi. Robię to, chociaż wiem, że to kwestia bardzo drażliwa politycznie i dla wielu może wydawać się śmieszną utopią – podsumowuje. Ale w końcu już Oscar Wilde powiedział, że mapa świata, która nie zawiera utopii, nie jest warta nawet jednego spojrzenia. ■

SKRZYWIENIE KOLEKCJONERA

Można powiedzieć, że zbieram, żeby ocalić od zapomnienia – mówi Witold Daniłowicz, prawnik i właściciel jednej z największych kolekcji map Polski przedrozbiorowej.

tekst **Monika Prończuk**, zdjęcia **Bartek Mienik**

Dom kolekcjonera trochę onieśmiela. Stoimy razem z Bartkiem, fotografem, przed piękną willą na warszawskim Żoliborzu i zwlekamy z naciśnięciem dzwonka. W środku witają nas pies, herbata w filiżankach z cienkiej porcelany i obrazy w złotych ramach – właściwie dokładnie to, czego się spodziewaliśmy, ale czegoś brakuje. No bo gdzie są mapy? – Mapy nie lubią światła słonecznego, więc tylko kilka wisi na ścianach, w odpowiednich, zacienionych miejscach. A w ogóle część kolekcji została w mojej starej kancelarii prawnej, w której już nie pracuję. Ale to dłuższa historia – tłumaczy na wstępie Daniłowicz. Siadamy więc na kanapie, pijemy herbatę, bardzo starając się nie zbić filiżanek (udało się) i słuchamy.

– Tak naprawdę wszystko zaczęło się od tego, że od zawsze bardzo interesowałem się historią. W 1991 roku mieszkając w Londynie i pewnego deszczowego dnia trafiłem do przypadkowego antykwariatu. Znalazłem tam małą mapę Polski z XVI wieku. Kosztowała niedużo, bo nikt się wtedy jakąś Polską nie interesował. Kupiłem ją i tak się zaczęła moja kolekcja.

Pan Witold Daniłowicz zawsze coś zbierał.

– Najpierw były znaczki, potem pocztówki z całego świata. Jako dzieciak korespondowałem z różnymi ludźmi, oni wysyłali mi pocztówki np. z Japonii albo z Mongolii, a ja im z Polski. To kolekcjonowanie na pewno ma związek z moją

pasją do przeszłości. Potem trochę zbierałem ikony. To było coś wyjątkowego, czego więcej nie będzie, ale nikt tego nie doceniał – tłumaczy.

POKAZAĆ TRADYCJE NA MAPIE

W latach 90. Daniłowicz wrócił na stałe do Polski i założył polski oddział dużej amerykańskiej kancelarii prawnej.

– Szukałem pomysłu na jego dekorację – wspomina. – Wtedy pomyślałem o swojej kolekcji. To były lata 90., przychodzili do mnie klienci z zagranicy, którzy najczęściej nie wiedzieli nic o Polsce. A ja chciałem im pokazać, że jesteśmy krajem z długimi tradycjami. Został jeszcze wybór ram czasowych. To akurat było proste, według mnie XVI-XVII wiek to najciekawszy moment w naszej historii. No, a poza tym byliśmy wtedy krajem od morza do morza – Daniłowicz mówi z uśmiechem.

Aukcji wtedy jeszcze nie było, więc prawnik kolekcjoner wolne chwile spędzał w antykwariatach, najwięcej w warszawskim Lamusie w Alejach Ujazdowskich. Kupował mapy, które wydawały mu się ciekawe, ważne, wartościowe albo po prostu ładne. Kolekcja się rozrastała, map nie brakowało, ale brakowało do-brych opracowań.

– Jak już powiesiliśmy mapy na ścianach kancelarii, to ludzie zaczęli się pytać: „A co to dokładnie jest?”, „Z którego to roku?”, „A kto to zrobił?”. Trochę było nam wstyd, że nie mieliśmy takich informacji.



Daniłowicz pomagał wtedy pro bono Ossolineum odzyskać rysunki Dürera. Wpadł więc na pomysł, żeby to ich poprosić o pomoc w opracowaniu, a przy okazji podratowaniu map (niektóre wymagały całkiem poważnej interwencji specjalistów) i stworzeniu katalogu. Nie spodziewał się wtedy, że katalog narobi więcej hałasu niż sama kolekcja.

– Wpadłem na pomysł, żeby wydać go jako książkę i dawać w prezencie świątecznym naszym klientom zamiast kolejnej nudnej butelki wina, którą wypiją i zapomną. Znalazłem drukarnię zakonników spod Torunia, która zgodziła się coś takiego wydrukować, i ją ktoś poszło.

Wtedy z książką-katalogiem zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

– Spacerowałem raz ulicą Próżną w Warszawie i na wystawie jednej z kawiarni zobaczyłem naszą, zresztą strasznie sfatygowaną, książkę – opowiada Daniłowicz. – Zacząłem też dostawać listy od obcych ludzi, którzy prosili o wysłanie książki. A to jakiś nauczyciel z Torunia, a to adwokat z Krakowa. Okazało

się bowiem, że można było np. kupić sobie książkę o mapach Ziemi Sanockiej – coś takiego prędzej ktoś napisze – ale nie było nic o mapach Polski. Ludzie pisali, dzwonili, a my naszą książkę wysyłaliśmy w świat. Ostatnio kilka egzemplarzy znalazłem na Allegro. Cieszy mnie to – znaczy, że ludzie nadal się tymi mapami interesują, że mają one dla nich jakąś wartość – mówi.

MAPY TO SPRAWA DOŚĆ DRAŻLIWA

Jest coś takiego w starych mapach, że ciężko się od nich oderwać. Nam też. Kiedy Daniłowicz pokazuje nam swoją kolekcję, klęczymy na dywanie z nosem w poślótkich kartach.

– Ludzie lubią szukać miejsc, które znają, miejscowości, z których pochodzą ich rodziny – tłumaczy tę fascynację Daniłowicz. – Daniłowiczowie pochodzą z Kresów, główna linia z Rusi Czerwonej, a moja bezpośrednia rodzina ze Żmudzi, więc zawsze się Kresami interesowałem. A poza tym mam tak, że nawet jak znam bardzo dobrze jakąś mapę, to za każdym razem, jak ją oglądam, odkrywam coś

nowego – mówi z wyraźnym zafascynowaniem. Na naszą prośbę pokazuje nam więc swoje dwie ulubione mapy. Pierwsza to najstarsza mapa w kolekcji – ta kupiona w Londynie, kiepsko wygląda w książce, bo jest bardzo mała. Dopiero na żywo robi wrażenie. A druga to duża, ładna mapa Polski w najlepszym okresie, od Bałtyku po Morze Czarne, ozdobiona kartuszem z Kozakami.

No właśnie, Kozacy – okazuje się, że mapy stwarzały też trochę problemów na tle polityczno-historycznym.

– W latach 90. mieliśmy coraz bliższe kontakty z klientami kancelariami z Litwy i z Ukrainy i bardzo się z nimi lubiliśmy. A okazało się, że w tych relacjach nasze mapy to sprawa dość wrażliwa. No bo one wszystkie wisiały jako mapy Polski, a tak naprawdę przecież to była Rzeczpospolita Obojga Narodów, która składała się z dwóch państw – tłumaczy Daniłowicz. A do tego jeszcze Ukraina z aspiracjami i dumą narodową. – Ale zamiast się obrażać, koledzy z litewskiej kancelarii, zainspirowani naszym pomysłem, zaczęli wydawać własne albumy

o historii Litwy, z mapami, rycinami i malarstwem. Parę kancelarii w Polsce zresztą też dzwoniło i pytało, czy się nie obrazimy, jeśli oni też coś podobnego wydadzą. No ale skąd, im więcej tego będzie, tym lepiej.

NAJLEPSZA RZECZ, JAKĄ MOŻNA ZROBIĆ ZE SWOJĄ KOLEKCJĄ

Nie sposób nie zapytać o drugą część kolekcji, tę pozostałą w kancelarii.

– To jest dla mnie dość smutne – odpowiada kolekcjoner. – Byłem bardzo dumny z tego, co zrobiliśmy, chyba jakoś tam przyczyniliśmy się do popularyzacji starych map Polski. A jak odchodziłem z kancelarii, to się okazało, że prawnie połowa kolekcji nie należy do mnie, bo mapy kupowałem na firmę. 25 lat temu, kiedy to wszystko powstawało, człowiek o takich rzeczach

nie myślał. Poza tym nawet nie miałem tego gdzie trzymać. Próbowałem nawet te mapy odkupić, ale skąd, nie chcieli. Mimo że niektórzy młodszy koledzy krytykowali taką, ich zdaniem przestarzałą, koncepcję dekoracji biura – nadal tam wiszą – w jego głosie niemal nie słychać frustracji. Dziwię się, że tak lekko o tym mówi. – Nie mam o to żalu, w ten sposób przynajmniej ludzie te mapy oglądają – tłumaczy kolekcjoner.

Teraz Daniłowicz ma nowy cel: opublikowanie historycznych map Lubelszczyzny.

– Jestem przewodniczącym rady nadzorczej kopalni Bogdanka, a w kopalniach mają specjalną aparaturę do kopiowania map geologicznych – opowiada.

– Koledzy z rady nadzorczej sami zaproponowali, że skopiują moje mapy, żeby udekorować nimi swoje biura.

Kopie rozdaliśmy też lokalnym szkołom. No i wszyscy byli zachwyceni – bo nagle w szkole w takiej Łęcznej wisi mapa Polski z XVII wieku i dzieci mogą na niej znaleźć nie tylko Kraków, ale też tę swoją Łęczną. Wprawdzie teraz są zawrośnięcia w górnictwie i uwaga jest skupiona na czymś innym, ale mam nadzieję, że jeszcze nam się uda książka z mapami Lubelszczyzny – mówi. – Według mnie zresztą najlepsza rzecz, jaką człowiek może zrobić ze swoją kolekcją, to ją komuś udostępnić. Ja od zawsze tak miałem. Chciałem dzielić się swoją wiedzą, doświadczeniem, przeżyciami. Do dziś tak mam, ciągle piszę różne artykuły, pokazuję mapy, opowiadam o nich. Nie wiem, może to takie skrzywienie – śmieje się Daniłowicz i ofiarowuje nam w prezencie kopie swoich ulubionych map, wykonane w kopalni Bogdanka. ■

O MĘŻCZYŹNIE, KTÓRY ZGUBIŁ SIĘ NA DWORCU CENTRALNYM

Jakim sposobem docieramy do celu, mimo że w ogóle nie myślimy o drodze? Jaki związek ma nauka śpiewu z orientacją w terenie?

I co sprawia, że udaje nam się nocą dotrzeć do łazienki bez obijania się o ściany w mieszkaniu? Na te i inne pytania odpowiada neurobiolog i biochemik, profesor Jerzy Vetulani.

tekst Krzysztof Miękus, ilustracja Ola Niepsuj

Wstaję w nocy do łazienki. Jest ciemno. Mimo to trafiam bezbłędnie do celu, bez obijania się o ściany...

Mamy w naszych mózgach cały złożony system nawigacji w przestrzeni, a dokładniej rzecz biorąc,

kilka współpracujących z sobą mechanizmów. Tzw. komórki granicy wzbudzają się, gdy zbliżamy się do jakiejś przeszkody, np. do ściany. Nie musimy jej dokładnie widzieć, bo komórki granicy „zapamiętują”, gdzie te przeszkody

są. Drugim mechanizmem są tzw. komórki siatki, nieustannie tworzące w naszych głowach uproszczone modele miejsc, w których przebywamy. Narzucają nam po rozejrzeniu się w pomieszczeniu regularną siatkę kartograficzną